

**INSTRUKCJA  
OBSŁUGI  
SOLNICZKI**



# **INSTRUKCJA OBSŁUGI SOLNICZKI**

**SZYMON HOŁOWNIA**

FELIETONY  
Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

© Wydawnictwo WAM, 2017  
© Tygodnik Powszechny, 2017  
© Szymon Hołownia, 2017

OPIEKA REDAKCYJNA: Olaf Pietek  
REDAKCJA: Michał Okoński  
KOREKTA: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk  
PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD I ŁAMANIE: Marek K. Zalejski  
FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Grażyna Makara  
ZDJĘCIA W TEKŚCIE: Szymon Hołownia

ISBN 978-83-277-1442-8 (oprawa twarda)  
978-83-277-1443-5 (oprawa miękka)

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)  
[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA  
tel. 12 62 93 260  
[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

DRUK: READ ME • Łódź

Kocham, uwielbiam wręcz tę  
wizję: Kościół jako wielka, dumna  
solniczka. Oto stoi na upačkanym  
stole, ludzie przy nim gadają,  
memłają, tańczą, robią akrobacje  
i balety. Solniczka jest ponad to.  
Zna swoją wartość i oni też ją znają.  
Ale boją się jej, bo lubi podnosić  
raban. Że gdzie z solą do mięsa  
czy zupy, przecież ona się w nich  
rozpuści!  
A musi zachować słoność  
niepokalaną aż po życie wieczne!  
Owszem, gdyby ktoś chciał –  
solniczka ma ofertę: śmiało,  
zapraszamy, ludzie – jedzcie  
sól! Sól sama w sobie jest wszak  
tak cudownie wyrazista, po co  
brukać ją jakimś łososiem z grilla  
albo ziemniaczkami?

22 SIERPNIĄ 1931 R. NA ROGU LUDWIGSTRASSE I BRIENNER Strasse w Monachium auto potrafiło pieszego. Prędkość nie była wielka, pieszy wylądował na bruku i miał parę zadrapań. Ale gdyby się na tym nie skończyło? To pytanie kierowca, baron John Scott-Ellis, wówczas osiemnastoletni *bon vivant*, zadawał sobie przez następnych kilkadziesiąt lat. Przez chwilę historia świata była w jego – jak to sam określił – „niezgrabnych rękach”. Gdyby wiedział, co zrobi za parę lat ów pieszy – Adolf Hitler, szef NSDAP i autor pisanych w więzieniu wspomnień o patetycznym tytule „*Mein Kampf*” – czy dodałby gazu? A widząc, że pieszy jeszcze się rusza – cofnął i poprawił uderzenie?

A może nie musiałby czekać? Wystarczyłoby, żeby zamiast emablować panny, na bieżąco czytał książki? Wszak „*Mein Kampf*” już wtedy sprzedała się w Niemczech w ponad 200 tys. kopii (by do końca wojny dobić do oszałamiającego wyniku 10 mln egzemplarzy sprzedanych i rozdanych; w III Rzeszy wręczano ją m.in. nowożeńcom i idącym na front żołnierzom).

Ludzie chętnie nasiąkali obsesjami człowieka, któremu za dwa lata oddadzą władzę nad dziesiątkami milionów istnień. Dowiadywali się, że wszystkim winni są bolszewicy oraz Żydzi. Że tych drugich należy wyrzucić, a jeśli będzie tego wymagać dobro niemieckiego robotnika i żołnierza – fizycznie eks-terminować. Że Wielkie Niemcy, skrzywdzone przez historię, potrzebują przestrzeni życiowej na wschodzie. Że to, co słabe, musi być zmielone przez to, co mocne, a proces mielenia będzie bolał (w przeciwieństwie do

■ Nie protestuję przeciw reedycji „*Mein Kampf*”, sam jednak jej nie nabędę. Babranie się w nieczystościach pozostawiam tym, którzy są do tego powołani.

polityków obiecujących wszystkim raj za darmo Hitler swoim wyznawcom lojalnie obiecywał drogę przez piekło, pot, krew i łzy).

Dziś też wielu wariatów pisze i wydaje książki. Casus „*Mein Kampf*” pokazuje jednak, co się dzieje, gdy autor dostaje szansę, by wszystkim tym, czym męczył papier, zamęczyć świat realny. Czy to znaczy, że pewnych książek nie powinno się w ogóle wydawać? Pytanie boleśnie aktualne. Kilka tygodni temu<sup>1</sup> prawa autorskie do „*Mein Kampf*”, będące dotąd w posiadaniu rządu Bawarii (który starał się ograniczać jej rozpowszechnianie), wygasły. Minęło 70 lat od śmierci autora. Rzecz trafiła do domeny publicznej i parę dni temu miałem okazję ujrzeć dzieło Hitlera na półce lotniskowej księgarni, tuż obok biografii rockowego gitarzysty Slasha oraz popularnego horroru o wojnie świata z najazdem zombie.

Mocne argumenty za niewydawaniem są dwa. Pierwszy: Europa na naszych oczach się kończy. Patetyczne hymny ku czci fundamentów kontynentu nie są w stanie przysłonić tego, że jego parter okupuje dziś niepodzielnie frustracjogenny materializm, na pierwsze piętro wprowadza się zaś ksenofobia. Przecież to idealna podpałka dla wszelkich radykalizmów. Dopóki „*Mein Kampf*” było trudno dostępne (w dobie internetu pojęcie „niedostępne” nie istnieje), szansa na to, że jakaś małpa wykorzysta to w charakterze brzytwy, była mniejsza. Krótkowłosi, wysportowani chłopcy i tak rozważali ją sobie na tajnych kompletach, co jednak, gdy teraz – zrównana na półce z tomem esejów Jacka Żakowskiego i wierszami Wisławy Szymborskiej – trafi do przekonania komuś mającemu w ręce bardziej wyrafinowane od bejsbola narzędzia? Co, gdy w jakimś modnym redaktorze, ważnym urzędniku, wygadany profesorze narodzi się Goebbels? Debaty, do tej pory prowadzone na portalach dla półgłówków, trafią do głównego obiegu, na Onet, Wirtualną Polskę, Facebooka: „może to, co Hitler pisze na stronie 45, to jednak zbyt radykalne rozwiązanie, ale na 47 ma rację!”. „Racja, Adolf! Odpowiedzią na rozlazłość Europy musi być silne przywództwo!”. „To bardzo przykre, ale konieczne, niestety: ofiary muszą być!”.

I oto argument drugi: ludzie przez te 70 lat naprawdę niewiele się zmienili. Przez ponad pół wieku z systemu wymontowano jednak bezpiecznik: odeszło pokolenie, które na własne oczy widziało, co dzieje się, gdy literatura taka jak „*Mein Kampf*” wychodzi z księgarni i staje się życiem, gdy akademickie debaty o dziejowej konieczności eksterminacji

<sup>1</sup> 1 stycznia 2016 r.

tych czy innych przestają być akademickie. Czy skoro z doświadczenia wiemy już, że wirus czarnej ospy zabija – nie powinniśmy trzymać go w zamknięciu?

Z drugiej strony – przecież umysłu nie da się trzymać pod kluczem. Może więc lepiej, że brednie Hitlera przestaną kusić niczym zakazany owoc, znajdą się wreszcie w normalnym obiegu, opatrzone aparatem krytycznym (w edycji, którą widziałem, przypisy zajmują więcej miejsca niż sama treść), a ludzie będą mogli się przekonać, że ich autor po pierwsze był nudziarzem, po drugie – kiepskim pisarzem, po trzecie – miał nierówno pod kopułą. Niech wirus zginie w kontakcie ze świeżym powietrzem.

A jeśli przetrwa?

Zamiast zadręczać się, niczym baron Scott-Ellis, pytaniami, czy przyszłość byłaby inna, gdyby dało się odkręcić przeszłość, całą parę trzeba puścić w terażniejszość. Jedynym wyjściem z błędnego koła rozmyślań o tym, jak tym razem być mądrym przed szkodą, jest odwrócenie zabiegu Hitlera: przeniesienie refleksji z poziomu mas z powrotem na poziom osobistych decyzji. Straszny Adolf zmienił jednostki w masę i przeszczepił jej swój mózg (robią tak wszyscy autokraci). Jedynym narzędziem, jakie mam, by się przed tym bronić, jest więc moje autonomiczne „nie”, „nie w moim imieniu”.

Nie protestuję więc przeciw reedycji „*Mein Kampf*”, sam jednak jej nie nabędę. Pozostanę wierny zasadzie, że nie czytam bestsellerowych wspomnień wampirów, katów, gwałcicieli i nie śledzę konnych sesji dzieciobójczyny w szmatławcu. Babranie się w nieczystościach pozostawiam tym, którzy są do tego powołani (psychiatrom, historykom, policjantom), wychodząc z założenia, że umysłowych śmieci się nie kontempluje, tylko sprząta. ■



W OPISYWANIU HAWAŃSKIEGO SPOTKANIA PAPIEŻA Franciszka z patriarchą Cyrylem<sup>2</sup> jako „najważniejszego wydarzenia w relacjach katolicko-prawosławnych od schizmy w 1054 r.” jest dużo przesady. Niemal dokładnie pół wieku temu błogosławiony papież Paweł VI z patriarchą Konstantynopola Atenagorasem (który był nawet gościem Soboru Watykańskiego II) wydali wspólną deklarację: zdejmujemy z siebie rzucone tysiąc lat wcześniej ekskomuniki, uznając, że obkładały nimi siebie nawzajem nie Kościoły, lecz osoby. Te osoby nie zdawały sobie sprawy ze skutków swoich działań. I to jest straszny wstyd przed Panem, który wyraźnie mówi, że jeśli jest „kwas” między tobą a bratem, masz zawrócić przed ołtarza, iść i pogodzić się, a dopiero później wracać na liturgię, składać dary, prośby i ofiary.

Ten jasny nakaz samego Jezusa odfajkowujemy zwykle podaniem ręki „na znak pokoju” paru stojącym najbliżej podczas mszy osobom. Zupełnie – mam wrażenie – nie czując obciachu z powodu sytuacji, w której dwóch następców apostołów tego samego Pana potrzebuje dwóch lat tajnych negocjacji prowadzonych przez zastępy współpracowników, by spotkać się na parę minut w lotniskowej poczekalni, chwilę porozmawiać i wymienić podarki.

W 2014 r. papież Franciszek podczas wizyty u patriarchy Bartłomieja pochylił się przed nim, prosząc o błogosławieństwo jak starszego brata (patriarchowie Konstantynopola to następcy świętego

■ Za dużo głupot  
słyszałem już  
z katolickich ambon,  
by miały odstraszać  
mnie bzdury  
padające z ambon  
prawosławnych.  
Od ambony  
ważniejszy jest  
wszak ołtarz.

<sup>2</sup> 12 lutego 2016 r. na lotnisku w Hawanie.